



Michał Krzemkowski

Na parafii w Drui (12)

ciąg dalszy z poprzedniego numeru

Mijamy Jezioro Widzewskie, o bardzo pogmatwanej, rynnowej formie, kolejne zwierzkształtne na naszej mapie... a już chwilę potem dość regularne w kształcie jezioro Sekły i wieś o tej samej nazwie. Tniemy brasławskie lasy sunąc wyasfaltowaną drogą krajową P27. Mijamy kolorowe przystanki autobusowe z betonu, od zewnątrz pomalowane abstrakcyjnie zlepkiem barwnych plam, jednakże w swoich wnętrzach wypełnione ludowymi malowidłami. Migają nam obrazy: kury otoczonej kurczętami, chłopów idących z kosami w pole, dwóch nastroszonych na siebie kogutów.

- Cudowne! – krzyczę. – Najpiękniejsze przystanki autobusowe na świecie.

- No, widzisz – komentuje Stefan – mówiłem. Białoruś to barwny kraj, ład do odkrycia.

Wieś Padruksza, leśne ostępy, osada Murmiszki. Przejeżdżamy przez swoistą bramę jeziorną, przecinającą szereg jezior rynnowych, ciągnących się od ogromnego jeziora Bohińskiego (biał. *woziera*

Bohinskaje), o wymyślnym amebowatym kształcie, z akwenem centralnym i kilkoma podłużnymi zatokami, aż po jezioro Dryświaty, a później, już na terenie Litwy i Łotwy, do samego Dyneburga. Jezioro Bohińskie ma blisko osiem kilometrów długości i położonych jest nad nim aż pięć wsi. Zamyka od południa Pojezierze Brasławskie we wsi Stawrowo i we wsi Bohiń graniczy przez wąską groblę drogową z Jeziorom Wysokim, które jest podłużne, a łączy się następnie z pełnym wąskich zatoczek, wysp i cieśnin, o przedziwnym kształcie Jeziorom Długim, które, wprost przeciwnie, na swoją nazwę nie zasługuje.

Dalej jest obszar międzyjeziorny, wspomniana brama za Murmiszki, a przed wsią Kmelnica, o szerokości około półtora kilometra. Na zachód od niej ciągnie się następne, podłużne jezioro rynnowe, a za nim bardzo duże i długie na ponad pięć kilometrów jezioro Obole, które rzeczką łączy się z wodnym kolosem - Dryświatami. W dalszej kolejności, jeszcze



Na zdjęciu: Opsa-Palac

w granicach Litwy, a potem już Łotwy, aż po Dyneburg, ciągną się już akweny znacznie mniejszych rozmiarów.

Jeszcze kilka kilometrów przez las i wjeżdżamy do Opsy, położonej nad podłużnym, wyraźnie trzęściowym jeziorem o tej samej nazwie, urozmaiconym zatokami, półwyspami i cieśninami. Dawniej było to miasteczko, dzisiaj to wieś. W dawnych dziejach funkcjonowało jako miasto królewskie.

Najznamienitszym zabytkiem Opsy jest pałac Feliksa Broel-Platea, położony nad samym jeziorem, zachowany w całkiem przyzwoitym stanie. My jednak zatrzymujemy się najpierw, tuż przy wjeździe do wsi, przy katolickim kościele pw. św. Jana Chrzciciela.

Przed wejściem spotykamy dwie kobiety w kolorowych chustkach na głowie. Stefan zagaduje po polsku i od razu mu odpowiadają.

Polki: Antonina i Helena, jak się po chwili okazuje. Prowadzą nas do środka, a tam przypatrują się nam z zaciekawieniem. Stefan tłumaczy im, że chwilę rozejrzymy się po wnętrzu kościoła, co też robimy. One tymczasem zagłębiają się w modlitwie, choć co chwilę na nas uważnie zerkają.

To bardzo ładny, jednonawowy neogotycki kościół z czerwonej cegły, obwiedziony masywnym granitowo-ceglanym płotem podpartym przyporami, z solidnym metrowej wysokości cokołem kamiennym, pięknymi ażurowymi przęsłami z cegieł oraz okazałymi ceglany dwumetrowymi filarami, zakończonymi wieżyczkami. Dzieło sztuki. Podobnie jak kościół, który godnie otacza i odgradza od brzegu jeziora.

Świątynię otwiera fasada z dwupiętrową wieżą dzwonną przykrytą szpiczastym hełmem, zamyka



Na zdjęciu: Opsa - Kościół

sześcioboczna absyda wypełniona prezbiterium. W ryzalicy centralnym fasady ponad dwuspadzistym portykiem stoi krzyż idealnie wkomponowujący się w okrągłe okno, które ma za sobą. Pierwsze piętro wieży zdobią dwa arkadowe okna obok siebie, drugie - jedno większe, spośród czterech po wszystkich stronach dzwonnicy. Do ścian bocznych dobudowane są przybudówki, krótsze z przodu, mieszczące boczne wejścia do kościoła, dłuższe z tyłu, wprowadzające do dwóch zakrystii. Cały kościół łącznie z absydą zdobią arkadowe okna, uwypuklane przez szeregi arkadowych dekoracji ciągnących się poniżej gzymsu wieńczącego.

Rozglądam się po wnętrzu kościoła. Światło wpada do środka przez skromnie barwione witraże. Dwa z nich oświetlają w absydzie z obu stron ołtarz z figurą ukrzyżowanego Chrystusa. Boczne ściany zdobią stacje drogi krzyżowej. Na przedniej ścianie nawy, po obu bokach obrazy, jeden z nich przedstawia wizerunek „Jezu, ufam Tobie”. Pilastry w ścianach bocznych i kolumny korynckie u wejścia na salę pokryte są złotymi zdobieniami. Ze sklepienia zwisają piękne kryształowe żyrandole. Biała barwa ścian sprawia, że w środku mnóstwo jest światła.

Wychodzimy, żegnani przez obie kobiety serdecznym uśmiechem. W krypcie znajdujemy tablicę poświęconą pamięci bydgoskiego poety Krzysztofa Nowickiego, który się w Opsie urodził. Jest też nagrobna tablica Stanisława Ma-



Na zdjęciu: Dąb Napoleona

nuzziego, ponoć niesłubnego syna króla Stanisława Augusta, który zmarł w Opsie w 1829 r.

Kościół komponuje się harmonijnie z zielenią trawników, bluszczu i różnych odmian krzewów iglastych. Podobnie elegancko zaaranżowana jest przestrzeń przy plebanii, także wybudowanej z cegły i ochraniającej przez ceglany, już nie zabytkowy, ale bardzo schludny płot. Znać tu gospodarską rękę.

- Wszystko takie zadbane,

poukładane, uczesane, zupełnie, jak nie na Białorusi – zauważam lekko ironicznie.

- Tak, bo to wyspa polskości na białoruskim morzu – odpowiada-



Na zdjęciu: Opsa-Pałac

da metaforą Krzysztof.

Akurat zmierza przed gmach kościoła staruszką, którą zapytujemy o gospodarza tego przykładnego sakralnego porządku - proboszcza.

- To ten pełny – mówi kobieta stojąca przed kościołem i pokazuje na grupkę osób po drugiej stronie ulicy.

Ksiądz Ryszard Achramowicz pochodzi z Wilna i ma ze 120 kilogramów wagi. Nim do niego podejdziemy, rozmawiamy chwilę z bezzębną staruszką po polsku o przeszłości Opsy, wyrażając zdumienie, że tak dobrze zna ojczystą mowę.

- Ja już ostatnia, co pamięta. Rok chodziłam jeszcze do polskiej szkoły – tłumaczy nam.

Ksiądz Achramowicz wypytujemy o dom rodzinny Krzysztofa Nowickiego. Tłumaczy nam, że dom Nowickich, z dwoma wejściami, stoi przy szosie na Brasław, na wzgórzu, po lewej stronie drogi, i że teraz mieszka tam rodzina Żukowskich. Mimo tak dokładnego opisu domu nie odnajdujemy.

Zjeżdżamy więc z głównej drogi, jedziemy kilometr na północ wzdłuż jeziora, które rozciąga się południkowo, niemalże idealnie z północy na południe. Droga szutrowa wiedzie nas do pałacu Feliksa Broel-Platera, położonego nad samym brzegiem jeziora.

Pałac jest imponujący, ale zupełnie zrujnowany i opuszczony. Patrzy na zielony od dzikiej roślinności podwórzec swymi wyłupionymi oknami. Nad wejściem głównym opiera się na dwóch potężnych kolumnach doryckich przestronny portyk. Wiedzie on do trójarkadowego wejścia w bramę, za którą jest przejście przez

budynek do przestronnego tarasu, kompletnie zniszczonego, zarastającego drzewami i chwastami. Spadają z niego w dół stromo kilkudziesięciostopniowe schody

do dolnego tarasu, zbudowanego nad samym brzegiem jeziora.

Drzwi do pałacu umieszczone są w bokach przejścia, prowadzą do korytarzy. Ciekawe rozwiązanie, charakterystyczne raczej dla kamienic miejskich, przydaje tej budowli oryginalności. Co ciekawe, część środkowa pałacu jest parterowa. Piętrowe są przylegające do niej ryzality boczne, wychodzące poza nią tak z przodu, jak i z tyłu, tak, że całość ma przekrój poziomy płytkiej litery H. Dach budynku pokryty jest wysokim, mansardowym dachem, a okna, zgodnie ze stylistyką klasycystyczną zdobione są pilastrami i gzymsami. Narożniki wyróżnione są boniowaniem. Blaszane, odnowione pokrycie dachowe wskazują, że pałac jest w kręgu zainteresowania konserwatora. Jest dla niego nadzieja, choć tynki, otwory okienne, detale są w opłakanym stanie.

Ten interesujący obiekt historii i architektury wkomponowany jest w sześć hektarów park z cennym drzewostanem, w którym wyróżnia się niewątpliwie rosnący blisko pałacu „Dąb Napoleona”, mający już trzysta lat i sześć metrów obwodu pnia, noszący swe imię na pamiątkę tutejszej kwatery napoleońskiego marszałka Joachima Murata w czasie kampanii wojennej 1812 r. Unosi się swoją dwudziestometrową posturą ponad inne drzewa niczym patriarcha. W jego pniu tkwi klamra. Legenda powiada, że wiązał do niej swego konia sam Bonaparte.

Park urozmaicają gazony i kwietniki, a do samego majątku prowadzi kamienny mostek arkadowy, przechodzący nad rzeczką, która niknie w parku. Ostało się jeszcze ogrodzenie z kamiennymi filarami i drewnianymi przesłami, lecz kamienne kule zdobiące filary strzaskał czas.

Poza pałacem na terenie majątku Platerów jest jeszcze skrytych w zieleni kilkanaście innych budynków, m.in. oficyna mieszkalna, sierociniec, zabudowania gospodarcze i warsztaty szkolne.

Pałac został zbudowany przez Feliksa Platera w latach 1903-04, jednak nigdy nie był zamieszkały (!) W czasie I wojny światowej w pałacu utworzono szpital polowy, jednak pomimo tego znacznie ucierpiał od działań militarnych. Zniszczony wojenną zawieruchą został kupiony przez Sejmik Braśławski i wraz z zabudowaniami gospodarczymi przeznaczony na szkołę rolniczą. Sam pałac mieścił klasy lekcyjne, sypialnie uczniów, kuchnię i jadalnię oraz mieszkanie dyrektora szkoły. Była to jedna z najbardziej innowacyjnych szkół rolniczych w Polsce. Poza uczniami z Braśławszczyzny, z uwagi na renomę szkoły, uczyła się tutaj również młodzież z Litwy, Estonii i Białorusi. Szczególnie rozwinął szkołę jej drugi dyrektor Bernard Wysłouch, w 1939 r. zaaresztowany



Na zdjęciu: Grób Wawrzeczekiego

przez NKWD, a potem zamordowany. Od czasów wojny majątek nie ma gospodarza i nieprzerwanie popada w ruinę, mimo czynionych pewnych działań ochronnych.

Wracamy na główny szlak, i na północ, do Drywiatów, do Braśławia. Przy wyjeździe z Opsy mijamy kolejny orszak weselny.

- Tośmy się wyweselili, po wsze czasy – zagaduje żartobliwie Krzysztof.

- Oj, nie żartuj sobie, tata.

Potańczyłabym – mówi z żalem Monika. -Zatrzymajmy się, może nas przysparza.

- Haha, nie ma czasu, pani Moniko! Musimy jechać! Ale możemy panią zostawić, a jutro po panią wrócimy – wybawia Stefan Krzycha, który tanecznego wilka wywołał z lasu.

- Nie. No, tak to nie - ucina wymianę zdań Monika.

- Kiedyś na pewno – pociesza Stefan. – Na następnym wyjeździe. Poduczymy się białoruskiego... i w „tancy” – dodaje.

Mkniemy przez lasy, pola, łąki, mijamy kolejne kolorowe przystanki. Pierwszy z wymalowaną na ścianie sceną domków wiejskich, drugi – przedstawiający wiejskiego chłopca, grającego dziewczynie na fujarce, na trzecim – tańczący chłop z chłopką, czwarty ukazuje dwóch chłopców, siedzących na ławce, z których jeden gra na harmonii.

Tym razem jedziemy w kierunku Brasławia od południa, od zachodniej strony Drywiatów. Droga przez dwa kilometry biegnie może sto metrów od brzegu jeziora. Cóż to jest za widok! Przesłaniają go nam drzewa i krzewy, ale gdzieś tam perspektywa tego bezmiarów nam się odsłania. Zaprawdę, nie widać drugiego brzegu! Być może, w południowym słońcu, w bezchmurny dzień byśmy go ujrzeli, ale teraz słońce jest wysoko po zachodniej stronie i to, co widzimy, to woda po horyzont.

Z Brasławia do Drui jedziemy znaną już nam drogą przez Słobódkę. Trasa ta sama, ale kruk siedzący na uschłej gałęzi przecież nowy, trzech bocianów w gnieździe na kostropatej brzozie wcześniej nie widzieliśmy, tego powabnego krajobrazu pastwisk, rozległych mokradeł i wrosłych w nie kęp zarośli w tym świetle późnego popołudnia nie widzieliśmy. Ta sama przyroda ciągle pokazuje nam się w nowych odsłonach, za każdym razem intrygując czymś nowym, czymś innym zwracając na siebie uwagę.

W Drui zatrzymujemy się tylko przed żydowskim cmentarzem, który oglądaliśmy zza bramy przedwcześniej. Dziś wchodzimy na jego teren. Niesamowite doświadczenie. Goła ziemia i stare kamienie z rytymi napisami. Czuję się, jakbym był na wyprawie w przeszłość, w erę przed Chrystusem....

Umordowani i ubłoceni stawiamy się na ciepłą kolację. Tam niespodziewane wieści. Pani Longina zawiadamia nas, że wyjechał ksiądz Michaił, wrócił za to z urlopu w Warszawie wikary-ksiądz Antoni Łoś. Jego stryj uczył tu przed wojną w gimnazjum, napisał z tego czasu wspomnienia, a kilka lat temu zmarł w Warszawie.

Barbara Pastuszewska

Któż na Inflantach nie znał pana Wiścickiego? (1)

„Wygodzie! Cudny majątek malowniczo udekorowany jeziorem, łaskami” – tak opisuje majątek mojego dziadka, Stanisława Wiścickiego, W. Ihnatowiczówna, wspominając go po jego śmierci. Niewielki majątek położony w powiecie dyneburskim na Inflantach, w którym urodziła się moja mama, jej pięciu braci i pięć siostr.

Wygodzie już nie ma, zniszczyła ją wojna i władza radziecka, a wkrótce minie 90 lat od śmierci dziadka. Nie żyje już żadne z jego dzieci ani najstarszy wnuk, który zapamiętał go podczas pobytu w Wygodzie. Jest więc to ostatni moment, żeby posklejać ze strzępków opowieści rodzinnych oraz zachowanych wspomnień, opublikowanych w lokalnej polskiej prasie (w tym także Michała Świerżbińskiego, przed wojną polskiego konsula w Dyneburgu), i opisać postać dziadka, życie rodziny i przekazywane dzieciom wartości, zwłaszcza patriotyzm, a na końcu to, jak te wartości wpłynęły na ich postawy i losy.

O tym, kim był dziadek dla społeczności polskiej na Inflantach i jak był przez nią oceniany świadczą wspomnienia, które ukazały się po jego śmierci, a których fragmenty przytoczę: „Któż na Inflantach nie znał p. Wiścickiego, bez udziału którego nie obyła się żadna polska impreza w pow. dyneburskim? Kto z Polaków zamieszkujących w Inflantach, lub przygodnie tam będących, nie był gościem w Wygodzie? Kto z licznych sąsiedztwa polskiego w chwilach ciężkich nie zwracał się do niego po pomoc, po otuchę? Kto odszedł z pustymi rękami?... Śp. Stanisław Wiścicki całe swe życie spędził w twardej służbie polskiemu stanowi posiadania na Inflantach. Nie opuścił domu i sąsiedztwa nawet wówczas, gdy przychodzili bolszewicy, gdy groziła mu kula w łeb... W latach 1920-21 jako współorganizator polskiej szkoły w pobliskich Jawdziemach był narażony na dotkliwe szykany. Zniósł i to z niezmiennym

optymizmem i wiarą w lepsze jutro” (W. K.).

I jeszcze fragment *Wspomnienia pośmiertnego* o dziadku, autorstwa konsula M. Świerżbińskiego: „Wspominając z głęboką czcią postać Zmarłego nasuwa mi się określenie, że był to typ dziś już niemal całkowicie wygasły „szlachcica na zagrodzie, co był równy wojewodzie” – w najlepszym tego słowa znaczeniu. Nie gwałcił karku przed nikim, nie ubiegał się o niczyje względy. Twardy, nieustępliwy i bezkompromi-



Na zdjęciu: Dziadek w stroju myśliwskim

sowy w swoich przekonaniach narodowych, z pietyzmem kultywował szlacheckie tradycje, oparte nie na próżności i pysze, lecz na idei posłannictwa narodowego na dalekich kresach. Bratem był dla każdego, choćby najuboższego Polaka. W gościnnym jego domu wszelka polska sprawa społeczna znajdowała najżywszą oddźwięk i współpracę”.

„W jego gościnnym domu” – te słowa bardzo dobrze oddają inną, jakże sympatyczną, cechę osobowości dziadka – gościnność. Oddaje głos W. Ihnatowiczównie po śmierci dziadka: „I trzeba teraz ten dom wyobrazić bez niego. Że nie wyjdzie, nie uśmiechnie się i nie powie: „Niech pani jesz-

cze nie wyjeżdża. Niech pani pogości w Wygodzie. No, niech pani zostanie”. Piszę o tym specjalnie, bo właśnie gościnność była jedną z tych cech, które z domu rodzinnego wyniosły wszystkie dziadka dzieci.

A jeżeli chodzi o „szlacheckie tradycje” związane nie tylko z ideałami, ale z ówczesną obyczajowością, to trzeba tu wyraźnie powiedzieć, że dziadek był myśliwym. Jedno z nielicznych, bardzo zresztą niewyraźnych zdjęć dziadka, przedstawia go z dubeltówką, psem i – o zgrozo – z upolowanym ptakiem, przytroczonym do pasa. Jestem wielką przeciwniczką zabijania zwierząt, ale fakt, że dziadek polował, nie budzi mojego oburzenia. W czasach, w których żył, polowanie było częścią wiejskiego stylu życia, a uprawiane indywidualnie było raczej formą obcowania z naturą, a nie masowym zabijaniem zwierząt, jakie miało miejsce na polowaniach organizowanych przez posiadaczy wielkich majątków, gdzie „królem polowania” zostawał ktoś, kto zabił najwięcej zajęcy, lisów albo innych zwierząt.

Dziadek ożenił się z Marią z domu Tomasze-wiczówną, która była „zającą, ogólnie szanowaną i kochaną małżonką” (M. Świerżbiński). Dobrze zachowany fotograficzny portret babci pokazuje panią o łagodnym, ale zdecydowanym charakterze, nie ma jednak, niestety, żadnego przekazu rodzinnego o tym, jaką była osobą. Babcia umarła przedwcześnie, osierocając gromadkę dzieci, z których najmłodsze miało zaledwie kilka lat. Nie znamy daty ani okoliczności jej śmierci, wiemy natomiast, że była dla dziadka ogromnym ciosem. Opiekę nad domem i rodzeństwem przejęła siostra Maria. Oddaje głos W. Ihnatowiczównie: „Podziwiałam ład domu, w którym nie było matki i w którym ojciec wytwarzał atmosferę, w jakiej czuło się solidarność, dyscyplinę i jakąś szorstką miłość”. Właśnie ta solidarność, tworząca się między osieroconym rodzeństwem, okazała się wartością nie do przecenienia

w dorosłym życiu braci i siostr.

Rozpiętość wieku rodzeństwa widać wyraźnie na zdjęciu, przedstawiającym prawie całą (brakuje najmłodszego z braci – Marianka) gromadkę. Podaję ich imiona, ponieważ ze względu na ich życiowe losy i postawy nie powinni zostać anonimowi. Bracia: najstarszy Jan, kolejno Czesław, Teodor, Henryk i Marian, siostry: Maria, Felicja, Stanisława (moja mama), Jadwiga, Helena i Janina. Było to rodzeństwo bardzo zróżnicowane zarówno pod względem urody jak i charakteru, wspólne było natomiast poczucie silnej więzi rodzinnej i wartości wyniesione z domu.

Warunki życia w Wygodzie nie rozpieszczały, majątek był zadłużony, a dochody niewielkie. Mimo to udało się zapewnić prawie całej gromadce wykształcenie na poziomie gimnazjum. Jedną z moich ciótek (najmłodsza z siostr, Janina) opowiadała mi, jak mieszkając z młodszym bratem na stacji w Dyneburgu bywali czasem po prostu głodni i niecierpliwie czekali na prowianty przywożone z domu. Moja mama była wyjątkiem, bo dzięki hojności swojej ciotki od strony babci uczyła się w Petersburgu na pensji dla dobrze urodzonych panien.

Po pierwszej wojnie światowej Wygoda znalazła się na terytorium Łotwy, a wobec braku perspektyw życiowych dla Polaków, młodzi Wiścicy opuścili dom i wyjechali do Polski. W Wygodzie pozostali najmłodsi bracia – Heniek i Marian, którzy próbowali wyciągnąć majątek z długów i unowocześnić gospodarkę. Dochodową gałęzią okazała się hodowla rasowych owiec.

Z tego okresu pochodzi historyjka prawie jak z Dziekiego Zachodu, świadcząca o determinacji i odwadze moich wujków. Otóż pewnego dnia zjawił się w Wygodzie prośbny dziad, który poprosił, żeby pozwolono mu zebrać jabłka opadłe w sadzie. Oczywiście pozwolono mu zebrać te jabłka, które zbierał długo i bardzo wylewnie dziękował, co wydało się trochę dziwne, bo jabłek w tym roku było wszędzie zatrzęsienie. I rzeczywiście – nie chodziło tu wcale o jabłka, ale o przespjegi szajki złodziei, którzy jeszcze

tej nocy uprowadzili stado cennych owiec, zamykanych w zagrodzie w pobliżu sadu. Natychmiast po odkryciu tego, co się stało, wujowie złapali strzelby myśliwskie, wskoczyli na konie i ruszyli po śladach. Udało im się dopaść złodziei i odzyskać stado ze stratą tylko jednej owcy, którą złoczyńcy zdążyli zabić na śniadanie.

Jak już na wstępie napisałam, Wygoda leżała w powiecie dyneburskim, w odległości około kilkudziesięciu kilometrów od Dyneburga, na pograniczu Inflant polskich. Dyneburg, (obecnie Daugavpils), miasto położone nad rzeką Dźwiną, w południowo-wschodniej części współczesnej Łotwy, było ośrodkiem polonijnym i kulturalnym, w którym uczyły się dzieci rodziny.

W Wygodzie byłam tylko raz, jako małe dziecko, już po śmierci dziadka w 1937 r. Zapamiętałam dość duży, mroczny dom ze skrzypiącymi podłogami, otoczony sadem, z niewielkim podjazdem, od którego biegła w dół ścieżka do jeziora. W połowie dróżki, z lewej strony, stał mały budynek, raczej chatynka, w której znajdowała się – jak dziś nazwalibyśmy – sauna, a wówczas po prostu łaźnia. Mama opowiadała mi, z jaką przyjemnością po rozgrzaniu się w łaźni i obowiązkowym wysmaganiu gałązkami brzozy, dzieci na golasa wybiegały i zanurzały się w zimnej wodzie jeziora, nawet jesienią, kiedy woda była już lodowata.

W Polsce najbliższym miastem, w którym mogli kształcić się i pracować młodzi Wiścicy po wyjeździe z Wygody, było

Wilno. I tutaj zaczynała się realizować solidarność rodzeństwa, wyniesiona z domu i wyrażająca się wzajemną pomocą. Najstarszy z braci, Jan, po skończeniu studiów prawniczych na Uniwersytecie Stefana Batorego zaprosił do siebie moją mamę, która zaczęła pracę jako sekretarka, a w krótkim czasie wyszła za mąż za przyjaciela Jana, również prawnika, mojego ojca. W domu moich rodziców mieszkanie i opiekę znaleźli podczas studiów najpierw młodsza siostra mamy, Helena, a następnie, niedługo przed wybuchem wojny w 1939 r., najmłodsza siostra – Janeczka. Ta solidarność w różnych okresach życia rodzeństwa przybierała różne formy, ale zawsze była żywa i autentyczna.

cdn.

Kõrli Stalte (1870–1947)

Rikāz rānda

Mis tēg minnõn kītõt kūldast,
õbdõst, mis um mōnallõ,
kīenta vōtšõmõst um mūldast,
tulgid īņõz miernaigõ.

Vantligid, kui piedāg tikkiž
kūldatõd um kōnka pāl,
ammõ randõ pāvaļikīs
nātõ kūldas pāistam sāl.

Kajāgõn āt õbdizt tībõd,
santi am um kākuļõn,
õrõnd nei īž tōurõd lībõd
rāndaīban, sportistõn.

Ētagõd sīn pūol eņtš sīlma,
sīn, kus pāva lūojõ lāb;
kus siz vōlks kil īļ mōīlma
neijen rikūzt, kui sāl nāb?

Sāl nāb neijen kuldõ lāistam,
kuijen tōvā mier īd um,
siegās valdõ õbdõ pāistam
lāinõd tutkāmīs kui lum.

Illõ ailõb purpur pīla,
allõ laint um dimanti.
Amā immõr rikāz vīla
ābnimtõd ja ādsmingi.

Kādūd imlõs kubbõ pānda
tēg set vōikst ja īdsõ sūs
kītõ sāl: “Ūod rikāz, rānda,
seļļizt rikūzt āb ūo mūs”.

Kõrli Stalte (1870–1947)

Bogaty brzeg

Cóż za mowa czcza o złocie,
srebrze skrytym w głębi gleb,
że, pry, grzebać trzeba w błocie –
przyjdźcie nad nasz morski brzeg!

Spójrzcie, jak się sosna cała
wyzłociła wpośród wydym,
jak się plaża w słońcu zlała
z migotaniem złotej mgły.

Skrzydła ma srebrzyste mewa,
serdak aksamitny – tracz,
równie pysznie się odziewa
brodziec, wyczynowiec plaż.

Rzućcie okiem ku poświecie,
gdzie się słońce kloni w noc:
Widzisz? Powiedz, gdzie na świecie
taką bogactw znajdziesz moc?

Ty! patrz, co się złota mieni,
co zmierzch po dno morskie wlał,
jak się srebro białe pieni –
jakby śnieg na grzbietach fal.

W górze chmur purpura płynie,
w dole diamentowy blask.
Któż by zdołał znaleźć imię
na ten niezrównany skarb?

Toteż wszyscy dłonie sprzęgą,
by się gromki rozległ krzyk
z wspólnych ust: „Bogatyś, brzegu,
takich bogactw nie ma nikt!”.

*Z litewskiego przełożył
Przemysław Podleśny*